

 Harlequin® *Romans*®



Diana Palmer
Nieujarzmiony

Diana Palmer
Nieujarzmiony

Tłumaczyła
Julita Mirska

Tytuł oryginału: Tough to Tame

Pierwsze wydanie: Harlequin Romance, 2010

Redaktor serii: Ewa Godycka

Opracowanie redakcyjne: Ewa Godycka

Korekta: Urszula Gołębiwska

© 2010 by Diana Palmer

© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2011

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.
Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych
– żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy Wydawnictwa Harlequin
i znak serii Harlequin Romans są zastrzeżone.

Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o.
00-975 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

Skład i łamanie: COMPTeXt®, Warszawa

ISBN 978-83-238-8147-6

ROMANS – 1058

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Cappie Drake wsunęła głowę za drzwi i rozejrzała się wokoło. Szukała szefa, doktora Bentleya Rydela, który od kilku dni wyładowywał na niej złość. Czy dlatego, że pracowała w klinice najkrócej?

– Wszedł na lunch.

Cappie podskoczyła. Za nią stała uśmiechnięta szeroko dziewiętnastoletnia Keely Welsh Sinclair, która niedawno poślubiła bogatego przystojniaka, Boone'a Sinclaira, lecz z powodu ogromnej miłości do zwierząt postanowiła nie rezygnować z pracy.

– Zgubiłam kwit nadania leków. Wiem, że gdzieś tu jest, ale szef zaczął na mnie krzyczeć i wszystko leciało mi z rąk...

– Nastąpiła jesień – oznajmiła filozoficznie Keely.

– Słucham?

– Jesień – powtórzyła Keely, a widząc oczy Cappie, wyjaśniła: – Jesienią doktor Rydel szybciej się irytuje. Czasem bez słowa wyjeżdża na tydzień. Kiedy wraca, nikomu nie mówi, gdzie był.

– Doktor King wspomniała, że jestem piątym technikiem weterynaryjnym, jakiego Rydel zatrudnił w tym roku. Poprzednich czterech długo nie wytrzymało.

– Kiedy szef się nakręca, trzeba się uśmiechnąć. Albo warknąć.

- Nie umiem warczeć.
- Naucz się. Bo inaczej...
- Do jasnej cholery, gdzie mój płaszcz?

Na twarzy Cappie odmalowało się przerażenie.

- Mówiłaś, że poszedł na lunch!
- Najwyraźniej już wrócił – odparła Keely, zaciskając zęby, gdy doktor Rydel wpadł jak burza do poczekalni, w której siedziały dwie zgorszzone staruszki.

Bentley Rydel miał co najmniej metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, niebieskie oczy, które w gniewie przybierały odcień stali, gęste czarne włosy, zwykle potargane, bo przeczesywał je palcami, duże stopy, wielkie dłonie i nos, który na skutek złamania nadawał twarzy posępny wyraz. Nie odznaczał się konwencjonalną urodą, ale wielu kobietom się podobał. One jemu nie. W całym okręgu Jacobs w stanie Teksas trudno byłoby znaleźć większego mizogina od Bentleya Rydela.

- Gdzie mój prochowiec? – Popatrzył z furią na Cappie, jakby to była jej wina, że wyszedł bez płaszcza na deszcz.

Cappie wzięła głęboki oddech.

- W szafie, panie doktorze. Tam go pan zostawił.

Korciło ją, by coś dodać, ale uznała, że lepiej milczeć, bo a nuż straci pracę? Nagle zauważyła, że Bentley dziwnie się jej przygląda. Zazwyczaj nosiła włosy upięte lub związane, teraz kilka długich jasnych kosmyków wysunęło się spod opaski.

Keely uśmiechnęła się do staruszek, które z zafascynowaniem przyglądały się tej scenie.

- Pani Ross, zapraszam panią z Luvvy do zabiegowego. Zrobimy kotce zastrzyk.

Drobna staruszka wstała z ociąganiem – nie chciała tracić przedstawienia! – i ciągnąc za sobą transporter na kółkach, oddaliła się korytarzem.

– Doktorze Rydel? – spytała cicho Cappie, czując na sobie natarczywy wzrok.

Mężczyzna skrzywił się.

– Leje jak z cebra.

– To nie moja wina. Nie odpowiadam za pogodę.

– Ha! – Otworzywszy szafę, chwycił płaszcz i ruszył do drzwi.

– A żebyś przemókł do nitki! – mruknęła pod nosem Cappie.

– Słyszałem! – zawołał.

Oblewając się rumieńcem, Cappie przeszła za kontuar; starała się nie patrzeć na Gladys Hawkins, która trzęsła się ze śmiechu.

– Nie przejmuj się. – Doktor King, która od lat współpracowała z Bentleyem Rydelem, poklepała Cappie po ramieniu. – Doskonale sobie radzisz. Twoja poprzedniczka Antonia dwa razy dziennie wybuchwała płaczem i nigdy nie odszczeknęła się szefowi.

– Nie rozumiem tego. Większość weterynarzy to mili ludzie, którzy nie wrzeszczą na personel. A personel nie wrzeszczy...

– Wrzeszczy, wrzeszczy – wtrąciła ze śmiechem Kely. – Ostatnio mój mąż stwierdził, że jestem tylko psim fryzjerem. No i dostało mu się.

– Bardzo słusznie – poparła ją doktor King – bo nasi fryzjerzy nie tylko strzygą. Oni cały czas bacznie obserwują zwierzęta. Uratowali niejedno psie lub kocie życie.

– Przystojny ten twój mąż – rzekła nieśmiało Cappie.

– Owszem, ale też uparty jak osioł i wybuchowy.

– Pewnie niełatwo takiego okiełznać? – spytała doktor King.

– On to nic w porównaniu z Bentleyem.

– Oj, tak. Współczuję tej, która się w nim zakocha.

– Ja, chwalić Boga, jestem szczęśliwą mężatką – stwierdziła ze śmiechem Keely.

– Ciebie akurat doktor Rydel lubi.

– Traktuje mnie jak dziecko. – Keely zamilkła. Pomyślała o swojej matce, którą zabił przyjaciel ojca.

– Przykro mi z powodu twojej mamy – szepnęła Cappie.

– Dopiero zaczynałyśmy się poznawać... Mój ojciec dostał stosunkowo łagodny wyrok, ale nie sądzę, żeby po odsiadce wrócił w te strony. Za bardzo boi się szeryfa Hayesa.

Cappie pokiwała głową.

– Ten to mi imponuje. Przystojny, odważny...

– Samobójca.

– Słucham?

– Ciągle pcha się w ogień walki – wyjaśniła doktor King. – Dwa razy cudem uniknęła śmierci.

– Nie ma chwały bez ryzyka – skwitowała Cappie.

Kobiety roześmiały się. Po chwili zadzwonił telefon, do kliniki wszedł kolejny klient.

Późno dotarła do domu. Był piątek, poczekalnia nie pustoszała. Nikt nie wyszedł z pracy przed wpół do siódmej, nawet Keely, która kilka godzin spędziła na myciu i czesaniu husky. Doktor Rydel jak zwykle warczał na wszystkich, zwłaszcza na Cappie, jakby to ona była odpowiedzialna za niekończący się strumień pacjentów.

– Cappie, to ty? – zawołał z sypialni męski głos.

– Tak, Kell!

Rzuciwszy na krzesło torebkę i płaszcz, weszła do małego pokoju, w którym jej starszy brat leżał z laptopem na zavalonym książkami łóżku.

– Ciężki dzień? – spytała, siadając obok na materacu.

Skinął głową. Twarz miał napiętą od bólu, który doku-

czał mu dwadzieścia cztery godziny na dobę. Kell był dziennikarzem. Przebywając służbowo za granicą, uległ wypadkowi. Odłamek pocisku utknął w jego kręgosłupie. Kell został sparaliżowany od pasa w dół. Lekarze bali się go operować; powiedzieli, że może z czasem szrapnel przesunie się, wtedy operacja będzie możliwa. A do tego czasu...

Najdziwniejsze było to, że redakcja go nie ubezpieczyła. I że on sam nie uznał za stosowne podać pracodawcy do sądu. Wcześniej kilka lat spędził w wojsku, później zatrudnił się w gazecie. Doskonale zarabiał. Kiedy Cappie wspomniała o tym znajomemu, ten się zdziwił: większość dziennikarzy cienko przędzie. Dziś, po opłaceniu rachunków za leczenie, z oszczędności Kella niewiele zostało. Żyli głównie z jej zarobków, a te starczały na żywność i opłaty.

– Wzięłeś leki przeciwbólowe?

Potwierdził.

– Nie pomogły?

– Nie bardzo. – Zmusił się do uśmiechu. Był wysokim, przystojnym facetem o krótkich gęstych włosach, jeszcze jaśniejszych od włosów siostry, i pięknych srebrzystych oczach. Niestety, od czasu wypadku poruszał się na wózku.

– Kiedyś cię zoperują.

– Oby zdążyli, zanim umrę ze starości.

– Och, przestań – skarciła go. – Nie wolno tracić nadziei. Zjesz coś?

– Nie, nie jestem głodny.

– Mogłabym ugotować zupę kukurydzianą.

Przyjrzał się jej z powagą w oczach.

– Tylko ci przeszkadzam, Cappie. Istnieje mnóstwo domów dla byłych żołnierzy, w których mógłbym...

– Nie! – zaprotestowała.

– To nie w porządku. Mając mnie na karku, nigdy nie znajdziesz męża.

– Już o tym rozmawialiśmy.

– Zrezygnowałaś z pracy, żeby przenieść się tu ze mną. Gdyby nasz kuzyn nie zapisał nam w spadku tego domu, nawet nie mielibyśmy gdzie mieszkać.

– Nie dramatyzuj! Jesteś moim bratem. I na pewno nie pozbędę się ciebie, żeby prowadzić bujne życie towarzyskie. Zresztą, jak wiesz, mężczyźni nie bardzo mnie interesują.

Zacisnął zęby.

– Tak, wiem. Ten skurwiol mógł cię zabić! A gdybym nie nalegał, ty byś nawet nie wniosła oskarżenia.

Odwróciła wzrok. Frank Bartlett, jedyny chłopak, jakiego miała w życiu, pod wpływem alkoholu przeistaczał się w furiata. Za pierwszym razem złapał ją za ramię tak mocno, że zostały jej na ciele fioletowe siniaki. Kell radził siostrze, by z nim zerwała, ale ona, zakochana, zaczęła usprawiedliwiać Franka: że to niechcący, że przecież nic się nie stało. Kell wiedział swoje, ale nie zdołał siostry przekonać.

Na czwartej randce Frank zabrał ją do baru, gdzie wypił kilka drinków. Kiedy delikatnie zasugerowała, aby więcej nie pił, wyciągnął ją na zewnątrz i zaczął tłuc. Na pomoc przybiegli inni goście. Jeden z nich odwiózł ją do domu. Frank zjawił się po paru dniach skruszony i błagał, by mu dała jeszcze jedną szansę. Kell zdecydowanie się sprzeciwił, ale Cappie znów nie posłuchała brata.

Któregoś dnia, oglądając z Frankiem film, poruszyła temat jego picia. Frank wpadł w szal; rzucił się na nią z pięściami. Kell przyjechał na wózku do salonu i podstawą lampy huknął Franka w głowę. Oszołomionej Cap-

pie polecił związać draniowi ręce na plecach, sam zaś chwycił telefon i wezwał policję. Cappie trafiła do szpitala, Frank do aresztu.

Ze złamaną ręką złożyła w sądzie zeznania. Wyrok, jaki zapadł, nie był zbyt wysoki. Pół roku więzienia, rok kurateli sądowej. Frank poprzysiągł zemstę. Kell potraktował jego słowa znacznie poważniej niż Cappie.

Mieli dalekiego kuzyna, który mieszkał w Comanche Wells, tuż przy Jacobsville w Teksasie. Kuzyn zmarł ponad rok temu, ale sprawa spadkowa się przeciągała. Wreszcie trzy miesiące temu nadszedł list z informacją, że rodzeństwo Drake'ów odziedziczyło mały dom z mikroskopijnym ogródkiem. Z początku Cappie nie bardzo chciała wyjeżdżać z San Antonio, ale Kell się uparł. W pobliżu Jacobsville miał kumpla, który znał miejscowego weterynarza. Cappie mogłaby tam dostać pracę jako technik. Zgodziła się.

Nie zapomniała o Franku. Był jej pierwszą miłością. Na szczęście dla niej ich związek ograniczał się do pocałunków i pieszczot, choć Frankowi zależało na większej intymności. Cappie jednak zdecydowanie odmówiła; miała niezłomne zasady moralne. Frank był niepokieszony. Twierdził, że pije przez nią; jest sfrustrowany, seksualnie niewyżyty...

Potem Cappie dowiedziała się, że kilka jej koleżanek również miało agresywnych chłopaków. Jedne zakończyły związki i uwolniły się od brutalii. Inne ze strachu nie potrafiły odejść. Zrozumiała wtedy, jak pozory mylą. Nie sposób poznać po wyglądzie, jak mężczyzna się zachowa, kiedy będzie z kobietą sam na sam. Bentley Rydel przynajmniej nie ukrywał swojego paskudnego charakteru.

- O czym myślisz? – spytał Kell.
- O moim szefie. To potwór. Przeraza mnie.

Kell zmarszczył brwi.

– Przypomina Franka Bartletta?

– Och, nie! Nie wierzę, żeby mógł uderzyć kobietę. On po prostu cały czas chodzi wściekły i przeklina. Ale lubi zwierzęta. Kiedyś przyszedł do nas facet z mocno pokiereszowanym kundlem. Twierdził, że psina spadła ze schodów. Bentley Rydel nie uwierzył; wezwał policję. Facet trafił za kratki.

– Podoba mi się twój szef. I masz rację; człowiek, który lubi zwierzęta, nie uderzyłby kobiety. – Na moment umilkł. – Frank już na pierwszej randce kopnął twojego kota.

– A ja próbowałam go usprawiedliwić. – Zdegustowana pokręciła głową. Pamiętała, że niedługo potem kot zniknął. Nie wiedziała, co się z nim stało. Ale wrócił, kiedy rozstała się z Frankiem. – Schlebiało mi, że taki przystojny chłopak mógłby się mną zainteresować. To co z zupą?

Kell westchnął.

– Nie odmówię.

– Świetnie. Biorę się do roboty.

Wróciła z tacą, na której stały dwie miski. Poza sobą nie mieli nikogo. Ich rodzice zginęli trzynaście lat temu, kiedy Cappie była dzieckiem. Kell wziął siostrę pod swoje opiekuńcze skrzydła. Przez wiele lat troskliwie się nią zajmował, przesiadując w domu, zamiast chodzić na randki albo spotykać się z kumplami.

Pamiętała go w mundurze oficera. Wyglądał wtedy władczo i dostojnie. Teraz był przykuty do łóżka i do wózka inwalidzkiego. Takiego zwykłego, bo na elektryczny nie było ich stać. Ale nie leżał do góry brzuchem. Bazując na własnych doświadczeniach i na relacjach kolegów, którzy pracowali w wywiadzie, pisał powieść – przygodową.

– Jak ci idzie pisanie?

Roześmiał się.

– Nieźle. Rozmawiałem z kumplem z Waszyngtonu o nowych strategiach politycznych i nowych rodzajach broni.

– Czy jest ktoś, kogo nie znasz?

– Pewnie ktoś by się znalazł. – Westchnął. – Obawiam się, że w tym miesiącu znów przyjdzie wysoki rachunek za telefon. Poza tym musiałem zamówić kilka książek o Afryce...

Cappie popatrzyła na brata z dumą w oczach.

– Bardzo dobrze. Dużo robisz. Znacznie więcej niż ludzie sprawni fizycznie.

– Sypiam mniej niż oni, więc mam więcej czasu na pracę.

– Musisz pogadać z doktorem Coltrainem o swojej bezsenności.

– Gadałem. Wypisał mi receptę.

– Której nie wykupiłeś. Wiem to od Connie z apteki.

– Szkoda forsy na leki nasenne. Nie martw się, jakoś sobie poradzę.

– Wszystko sprowadza się do pieniędzy. – Cappie też westchnęła. – Żałuję, że nie jestem tak mądra i utalentowana jak ty. Może wtedy znalazłabym lepiej płatną pracę.

– Przestań. Kochasz zwierzęta i masz dryg do tej roboty – powiedział Kell. – To ważniejsze od zarobków. Wiem, co mówię.

Ponownie zanurzyła łyżkę w misce z zupą.

– Może, ale łatwiej byłoby opłacić rachunki, gdybym...

– Zobaczysz, jeszcze będziemy bogaci. – Uśmiechnął się szeroko. – Moja książka trafi na listę bestsellerów,

wszyscy będą zapraszać autora na spotkania i wywiady, kupimy sobie nowy samochód...

– Optymista.

– Trzeba mieć nadzieję. – Skrzywił się i powiódł wzrokiem po sypialni. – Inaczej co nam zostało? Brudne ściany, popękany tynk, auto z przebiegiem prawie czterystu tysięcy kilometrów i ciekący dach.

Cappie skierowała spojrzenie na żółtą plamę na suficie.

– Szkoda, że nas nie stać na gont.

– Blacha była tańsza. I ładnie się prezentuje. – Cappie popatrzyła na brata z powątpiewaniem w oczach. – A ten deszcz na dachu? Nie podoba ci się? Mamy za darmo koncert.

– Koncert? Raczej dudnienie.

– Naprawdę uważam, że powinienem się przenieść do domu dla żołnierzy.

– Po moim trupie. Zjadaj zupę.

– Dobrze, nie złość się.

Uśmiechnęła się czule. Był najwspanialszym bratem, jakiego można sobie wymarzyć. Nie zamierzała go nigdzie oddawać.

Kiedy nazajutrz rano dotarła do pracy, przestało padać. Dzięki Bogu. Nie miała ochoty wynurzać się spod kołdry. Uwielbiała leżeć przykryta po nos i słuchać bębnienia deszczu. Ale nie chciała, by ją wyrzucono z pracy. Jednego z drugim nie da się połączyć.

Chowała płaszcz do szafy, kiedy czyjeś długie ramię wysunęło się zza jej pleców i podało własny płaszcz.

– Proszę to powiesić.

– Dobrze, panie doktorze. – Zamknąwszy drzwi szafy, Cappie obróciła się. – Coś się stało? – spytała, bo Bentley Rydel nie ruszył się z miejsca.

– Nie. – Wyglądał tak, jakby dźwigał na swych barkach wszystkie problemy świata.

Znała to uczucie; miała sparaliżowanego brata, któremu nie mogła pomóc.

– Jak pluja, czasem trzeba myśleć, że deszcz pada.

– Co pani może o tym wiedzieć? Jest pani za młoda.

– Nie liczy się wiek, doktorze. Liczy się doświadczenie. Gdybym była samochodem, musieliby mi wstawić klamki ze szczerego złota, żeby ktokolwiek chciał mnie kupić.

Jego spojrzenie nieco złagodniało.

– Gdybym ja był samochodem, trafiłbym na złom.

Parsknęła śmiechem.

– Przepraszam – zreflektowała się.

– Za co?

– Trudno się z panem rozmawia – przyznała.

Przez chwilę milczał.

– Nie jestem przyzwyczajony do ludzi – rzekł w końcu. – To znaczy, widuję ich w pracy, ale mieszkam sam. Większość życia spędziłem samotnie. – Nagle zmarszczył czoło. – A pani mieszka z bratem, prawda? On nie pracuje?

– Jako dziennikarz przebywał na terenach objętych wojną. W pobliżu miejsca, gdzie stał, wybuchł pocisk. Odłamek utknął w jego ciele. Operacja nie wchodzi w grę. Kell jest sparaliżowany od pasa w dół.

– Psiakrew.

– No właśnie, psiakrew. Wiele lat był w wojsku. W końcu uznał, że nie może mnie dłużej ciągnąć po całym świecie, więc znalazł pracę w jakiejś gazecie. Powiedział, że więcej czasu będzie spędzał w domu. I tak jest, tyle że żyje w ustawicznym bólu. A mnie boli, jak na niego patrzę.

W oczach Bentleya zobaczyła błysk współczucia.

– Tak, łatwiej samemu znieść ból, niż patrzeć na cierpienie ukochanej osoby. Opiekuje się pani bratem?

Uśmiechnęła się.

– Na tyle, na ile mi pozwala. On opiekował się mną, odkąd nasi rodzice zginęli w wypadku. Miałam wtedy dziesięć lat. Oczywiście stale powtarza, że jego miejsce jest w domu dla żołnierzy, ale nie zamierzam go nigdzie oddawać.

Bentley Rydel zamyślił się. Miał taką minę, jakby bardzo chciał z kimś porozmawiać, ale nie miał z kim.

– Niekiedy życie bywa paskudne – szepnęła.

– Rodzimy się, cierpimy, a potem umieramy. No dobra, do roboty, panno Drake. – Zawahał się. – Pani imię, Cappie, to zdrobnienie od...?

Przygryzła dolną wargę.

– No? – ponaglił.

– Od Capelli – przyznała niechętnie.

Uniósł brwi.

– Tej gwiazdy?

Roześmiała się zachwycona. Był jedną z nielicznych osób, które słyszały o takowej.

– Pewnie któreś z pani rodziców miało bzika na punkcie astronomii?

– Bzika? Hm, mama była astronomem, a ojciec astrofizykiem. Pracował dla NASA.

Bentley Rydel pokiwał głową.

– Musieli być piekielnie inteligentni.

– Nie odziedziczyłam po nich inteligencji. Ale Kell... pisze książkę. To będzie bestseller. – Wyszczrzyła zęby w uśmiechu. – Brat zostanie milionerem. Wtedy nie będziemy musieli przejmować się kosztami leczenia.

– W tym kraju opieka zdrowotna to kpina – mruknął